

Kpr. Zbigniew Grandowicz - Powstanie Warszawskie „BASZTA”

01 kwietnia 1946r.

Ukazanie się na mieście plakatów, że kilkadziesiąt tysięcy ludzi będzie zapotrzebowanych do robót fortyfikacyjnych było dniem wybuchu. Grałem w bilard w „Cukierni Leżański” gdy dostałem rozkaz stawić się na punkt - ul. Stępińska.

Powstanie Warszawskie.

Dnia 1 sierpnia 1944r. dostaję rozkaz stawić się natychmiast na ulicę Stępińską, numeru nie pamiętam. Była to mała fabryka lampek karbidowych, naprzeciw niej były zakłady „Brun Werke” mieszczące się frontem do ulicy Belwederskiej, tyłem sięgające ulicy Stępińskiej. Zameldowałem się Dowódcy mojej Kompanii. Potem przywitałem się ze wszystkimi moimi kolegami. Należeliśmy wszyscy do zgrupowania „BASZTA”, podzieleni byliśmy na kompanie: 516 - 517 - 518, ja należałem do kompanii 517, dowódcą kompanii był por. JAN, zastępcą ppor. PAWEŁ, szefem st. sierż. MARIAN, gospodarczym był sierż. BAGNET, moim drużynowym ZBYCH, ja czyli ARIEL, jako starszy strzelec, byłem jego zastępcą.

Stan mojej kompanii około 80 ludzi. W fabryce tej widzieliśmy dużo skrzyń, które później nie wiadomo w jakim celu wynosiliśmy na podwórko, po ciężarze przypuszczaliśmy, że to broń lub amunicja. Broń, którą ja widziałem to trzy „steny”, jeden KB i kilkanaście pistoletów, w tym pistolety kaliber 6,35 mm. O godz. 16⁰⁰ drużynowy ZBYCH dostaje rozkaz od naszego dowódcy komp. por. JANA zmienić ubezpieczenie dookoła naszego M.P. Zabieramy ze sobą dwa „steny” i udajemy się do portierni naszej fabryki. Następuje tzw. odprawa: w razie zauważenia na ulicy pojedynczego samochodu zbliżającego się w naszym kierunku podawać znak poprzez założenie obydwu rąk do tyłu, zbliżanie się większego oddziału lub kilku pojazdów - założenie rąk splecionych na piersiach, następnie dobrze na wszystko patrzeć, nie dać się zaskoczyć i broń boże nie strzelać. To była instrukcja dla ubezpieczeń z lewego i prawego skrzydła naszej fabryki - odległość od fabryki 200 - 300 m. Na lewe skrzydło poszedł ZIEMOWIT, na prawe BILL i BOBER. ZIEMOWIT miał jeden granat tzw. „perełka”, BILL „stena” a BOBER nie miał nic. Drużynowy ZBYCH siedział w portierni uzbrojony w „stena”. Ja utrzymywałem łączność po ulicy Stępińskiej z obydwoma skrzydłami pilnie obserwując umówionych sygnałów, które miałem przekazywać do portierni naszej fabryki. JUREK siedział z tyłu fabryki mając obserwacje aż do ul. Czerniakowskiej, gdyż z tyłu naszej fabryki były ogrody i rzadko rozstawione budynki.

Rysunek. Plan ul. Stępińskiej: ul. Belwederska - Brun Warke; ul. Chełmska - koszary Artylerii Konnej; ul. Stępińska - fabryka; ul. Czerniakowska

Str.3 Powstanie miało wybuchnąć o godz. 17⁰⁰, rozkaz gen. „Bora”. O godz. 16³⁰ jestem w pobliżu posterunku BOBRA, posterunek jego mieścił się

po między zakładami „Brun Warke” a ulicą Chełmską - był to nieduży plac z przeczną od ulicy Belwederskiej zabudowany schronami przeciwlotniczymi. Zamieniłem z nim kilka słów, przypaliłem papierosa, i odchodząc, po paru sekundach usłyszałem kilka pojedynczych strzałów - zatrzymałem się. Ulica na której był normalny ruch momentalnie wyludniła się, nie było żywej duszy. **BOBER** podbiega do mnie i pyta się co robić, ponieważ był to jeden z najmłodszych konspiratorów miał porządnego stracha. Kazałem jemu pozostać na posterunku i obserwować co się dzieje, ja szybkim krokiem poszedłem w kierunku fabryki, strzały były coraz częstsze, już KM zaczynały grać. Przed fabryką widzę kilka „Rikoz” a nasi chłopcy w wielkim popłochu wyładowują z nich granaty i butelki z benzyną. Jak się okazało w fabryce nie było żadnej broni, miano nam dopiero wszystko przysłać, z niewiadomych przyczyn nic nam nie przysłali oprócz paru „Rikoz” z granatami i butelkami zapalającymi. Kto mógł brał granat lub butelkę i biegł, sam nie wiedział gdzie, nikt się nie spodziewał, że Niemcy pierwsi nas zaatakują, łączności nie mieliśmy z żadnym oddziałem, wszystkie nasze plany runęły, ubezpieczenia ze skrzydeł zbliżyły się do fabryki - czekaliśmy rozkazów. W pierwszym naszym planie było atakować koszary Dywizjonu Artylerii Konnej gdzie stało SS w sile jednego batalionu, doskonale ubezpieczeni, otoczeni murem dwu metrowej wysokości. Koszary mieściły się na dość wysokim wzgórzu, ciągnęły się od ulicy Chełmskiej do Łazienek. Nagle poprzez nieustającą strzelaninę padła komenda naszego dowódcy kompanii, który nie tracił głowy, i wszyscy jak jeden z okrzykami „hurra” poszliśmy do szturm. Naturalnie całe nasze ubezpieczenie poszło razem z nami jako najlepiej uzbrojeni.

Ja trzymałem się drużynowego **ZBYCHA** i **BILLA** gdyż oni mieli „steny”. Biegniemy aż do miejsca gdzie **BOBER** ma swój posterunek, z naszej strony nie padł jeszcze ani jeden strzał. Od ulicy Chełmskiej w ulicę Stępińską wpadł jakiś niemiecki samochód, widząc naszą grupę, zatrzymał, wyskoczyło trzech Niemców - odległość 150 m. **BILL** wypuścił do nich cały magazyn ze swojego „stena”. Jeden Niemiec został na miejscu, dwaj inni w jakiejś dziurze się schowali. Od koszar jesteśmy oddaleni o 300 - 400 m. W zapale szturmie nie zauważyliśmy, że biegnie nas tylko około 40 ludzi, reszta została w fabryce lub wycofuje się w kierunku Czerniakowa. Por. **JAN** daje rozkaz wycofywania się, strzały nieprzyjacielskie sieją spustoszenie wśród nas, nasze „steny” zacinają się, w końcu nie ma amunicji i magazynki pogubione. Zabitym i rannym zabieramy granaty, w końcu granatów jest tak dużo na jednego, że nie ma gdzie chować, więc rzucamy je, aby tylko narobić dużo hałasu. Niemcy od strony ulicy Belwederskiej są coraz bliżej i strzelają coraz celniej. Na jednego zdrowego wypada 2 rannych, już nie strzelamy, ani nie rzucamy granatów, ratujemy rannych - cóż, kiedy ciągnąć rannego, po paru krokach ma już tyle kul w sobie, że nie ma za co chwycić, ani co ciągnąć. Ze **ZBYCHEM** prowadzimy **SMOKA** - jest ranny w kolano, parę metrów dalej **SMOK** dostaje drugą kulę w dłoń, ciągniemy go dalej w pozycji leżącej, nagle z Brun Warke pada seria z KM - **SMOK** dostaje w lewe oko a mózg jego prysnął na moje spodnie, **ZBYCH** dostał w plecy. W tym momencie podczołgał się do mnie **BILL** i razem ciągniemy **ZBYCHA** - naprzeciw naszej fabryki bierzemy **ZBYCHA** na ręce i robimy skok przez ulicę. W fabryce

Str.4 zbieramy się razem i pod dowództwem por. **JANA** i ppor. **PAWŁA** tyłem fabryki dostajemy się do ogrodów, które dochodzą do ulicy Podchorążych. W pierwszym napotkanym domku zostawiamy wystraszoną kobietą rannego **ZBYCHA** i przedostajemy się na ulicę Podchorążych. Po drodze dołączają do nas niedobitki. Z naszej kompanii zdrowych i lekko rannych zostało około 40 ludzi, z mojej drużyny **JUREK** jest lekko ranny w szyję a **BOBER** i **ZIEMOWIT** zaginęli. Na ulicy Podchorążych zajmujemy duży blok czynszowy, ludność cywilna płacze z radości, dają nam tyle papierosów że kieszeni za mało, dzieci znoszą nam granaty, hełmy; mężczyźni chcą do nas dołączyć i razem walczyć - nastrój jak dzień przed zwycięstwem. Tylko dziwią się dlaczego tak mało broni mamy, pozostało nam około 50 granatów, 2 „steny” i cztery pistolety - z amunicją jest bardzo krucho. Około godz. 19 - tej mamy łączność z **PAL**. „Palowcy” są dużo lepiej od nas uzbrojeni - mają automaty rosyjskie i karabiny rosyjskie, poza tym pistolety - amunicji mają aż za wiele, przyszli do nas w piętnastu. Każdy ma jakąś broń - zazdrościliśmy im wszyscy. W naszym bloku zajęliśmy ostatnie piętra celem lepszej obserwacji, mamy wgląd na koszary **DAK** z lewej, z prawa - ulica Czerniakowska. Ponieważ koszary **DAK** (Dywizjon Artylerii Konnej) były celem naszego pierwszego ataku, dowódca kompanii postanowił jeszcze raz zaatakować. Z tej strony koszary były również otoczone wysokim murem, chronione jednym bunkrem. Bunkier miał **CKM**, dwa **KM** i kilku strzelców, poza tym z góry koszar był na nasz odcinek położony ogień broni maszynowej. O godz. 20³⁰ zaczęliśmy atak przez wysłanie 20 ludzi uzbrojonych w 5 automatów i w prawie wszystkie nasze granaty - po 15 minutach szturmie osłanianego przez resztę naszych sił z okien domów - wróciło 15 ludzi z powrotem. Straciliśmy 2 automaty a granaty narobiły tylko dużo hałasu - bunkier stał nieporuszony. Godz. 22⁰⁰ - „Palowcy” odłączyli od nas - pozostaliśmy sami. Godz. 2⁰⁰ z rozkazu dowódcy komp. por. **JANA** wymaszerowujemy w kierunku Wilanowa a następnie mamy przedostać się do Lasów Kabackich gdzie podobno są zrzuty Anglików - broni i żywności. Dochodzimy do kościoła Czerniakowskiego (pętlica tramwajowa 24). Przy kościele zatrzymuje nas głos „stój, kto idzie” - ja, który prowadziłem szpicę podchodzę i melduję: Kompania 517 w przejściu do Lasów Kabackich. Łącznik, który nas zatrzymał żąda Dowódcy - por. **JAN** podchodzi i po chwili rozmowy dowiadyuje się, że w kościele około trzech tysięcy wojska jest zebranych, którzy też idą w kierunku Lasów Kabackich - wymarsz o 5 nad ranem.

Całą noc pada deszcz, jest nam wszystkim strasznie zimno i jesteśmy głodni. W kościele siadamy na betonie i czekamy świtu. O godz. 4³⁰ jesteśmy przez cywili zaalarmowani, że do kościoła zbliżają się oddziały niemieckie oraz kilka samochodów. Na wszystkich ludzi z kościoła mieliśmy 3 **RKM**, około 15 **KB** do 10 **PM** oraz kilkanaście sztuk broni krótkiej. Na rozkaz jednego z **oficerów** (pseudonimu nie pamiętam) wystawiamy ludzi z całą naszą bronią przy wejściu do kościoła od strony ulicy Czerniakowskiej i oczekujemy Niemców. Niestety po dziesięciu minutach na rozkaz tego samego **oficera** mamy wycofać się z kościoła bez walki. Będziemy się przedzierać przez lasy. Nasza kompania dostaje prowadzenie szpicu. **JUREK** ze „stenem”, por. **JAN** „sten”, **BILL** i ja - granaty, reszta też granaty. Obieramy kierunek na prawo ulicy Powińskiej

chcąc się dostać do lasów polami pomiędzy Mokotowem a Wilanowem. Nasza szpica uszła w kierunku pola około 500 m, a tu nagle ciche bzyknięcie kulki - wszyscy na ziemię i powoli dalej. Po chwili któryś z nas się podniósł i momentalnie coś bzyknęło koło niego - na pewno był to niemiecki strzelec wyborowy i strzelał z dalekosiężnego karabinu. Czołgając się wycofaliśmy się z niebezpiecznego obstrzału. Z lewej strony ul. Powsińskiej idąc

Str.5 w kierunku Wilanowa były drewniane zabudowania i wielkie ogrody, tamtędy też postanowiliśmy się posuwać, mimo, że nikt z nas nie znał tego terenu i nie mieliśmy żadnej pewności, że tam nie ma Niemców. Idąc i osłaniając się tymi zabudowaniami doszliśmy do mostku na Jeziorku Czerniakowskim. Był tam zebrany oddział ze Sadyby pod dowództwem majora **JASZCZURA**. Major **JASZCZUR** objął nas wszystkich na swoją komendę i dał rozkaz maszerować przez most na jezioru w kierunku Wilanowa. Wyglądaliśmy groteskowo: jeden miał modny kiedyś kapelusz lecz teraz w tym deszczu stracił zupełnie fason i wyglądał jakby kura siedziała jemu na głowie. Inny znów okryty zabłoconym kocem i z parasolem w rękę, jeszcze inny bez butów, boso, ale na szyi miał 12 - krotną lornetkę (*nie potrafię odczytać*) - wyglądał w swoim mniemaniu na wodza naczelnego. Na ogół wszyscy byliśmy w podartym obuwiu i w podartym ubraniu, zmarznięci i głodni. Lecz za to nasz komendant mjr **JASZCZUR** był tak elegancki, że na każdym balu wzbudziłby zachwyt pięknych pań. Miał na sobie nowy mundur z pięknym pasem koalicyjką i kaburę z pistoletem, bryczesy i lakierowane buty z cholewami, do tego piękną czapkę galową. Od Sadyby jechał samochodem „Fiatem” wraz z jednym porucznikiem, żoną, i służącą. Ponieważ wóz jego często grzązł w błocie żołnierze musieli go wyciągać. O kilometr od Wilanowa ugrzązł tak głęboko, że trzeba go było pozostawić a pan mjr **JASZCZUR** w pobliskiej willi zatrzymał się na odpoczynek biorąc na swoje ubezpieczenie kilkunastu żołnierzy oraz 3 RKM.

Po tym fakcie nasza kompania 517 oddzieliła się i przecinając Szosę Królewską udaliśmy się na przełaj przez pola w kierunku widocznych Lasów Kabackich. Ponieważ idziemy połączeni z tymi, którzy na ochotnika dołączyli do naszej kompanii z oddziału komendanta **JASZCZURA** jest nas razem około 300 ludzi. Uzbrojenie: 1 KB, 2 PM i kilkanaście granatów, amunicji na każdą broń jest zaledwie po parę sztuk, kilku miało pistolety, ale bali się przyznać, żeby starsi koledzy im nie poodbierali. Posuwamy się marszem ubezpieczonym: szpica około 30 ludzi z naszą bronią, ppor. **PAWEŁ** ze „stenem” i dwoma granatami, por. **JAN** pistolet, jeden z ochotników z karabinem a reszta szpicy granaty - jeden na trzech. Deszcz przestał padać, ale jest straszne błoto, moje buty są już bez zelówek. W kieszeni mam węgierski (*nie potrafię odczytać*) i nic więcej, mój najlepszy kolega **BILL** ma trzy „perełki”. Trzymamy się por. **JANA** i ppor. **PAWŁA** - ufamy im bezgranicznie.

Szosa Królewska jest już za nami, do lasów około 2 kilometrów. Idziemy przez zagony kartofli, przed nami 500 m zaczyna się zboże. Dochodzimy do zboża 200 m zmęczeni strasznie. Nagle ze zboża wyłażą Niemcy - hełmy mają

zamaskowane kępkami zboża, są w płóciennych ubraniach, na twarzy ich zdziwienie, gdyż na pewno obserwowali nas od dłuższego czasu i byli zdziwieni, że mamy tak mało broni. Trudno jest mi powiedzieć ilu ich było - ja widziałem przed sobą kilkunastu. Nie zadawali sobie nawet trudu przygotować jakieś stanowiska, strzelali do nas z pozycji stojącej. Pierwsza salwa zrobiła straszne spustoszenie: padł nasz dowódca por. JAN i prawie cała szpica - ja, BILL, ppor. PAWEŁ i ten z karabinem ocaleliśmy. Naturalnie całą siłą nóg uciekaliśmy, padaliśmy na ziemię nie przed kulami, ale ze zmęczenia - na pewno pobiłem w biegach rekord świata. Cały nasz odwrót usiany był trupami a kto nie zginął, jako ranny szedł do niewoli - uratowało się z tego pogromu kilkudziesięciu. W naszym szalonym biegu zdążaliśmy do Szosy Królewskiej. W pobliżu parku tak zwanym, Park Hrabiny, Niemcy chcieli zrobić kocioł zaczynając od owego zboża z lewa i z prawa Szosy Królewskiej - zamknięcie jak się orientowaliśmy miało nastąpić właśnie koło Parku Hrabiny. Było to jedyne miejsce gdzie można było wykonać skok przez szosę, gdyż Park Hrabiny zarośnięty był drzewami i krzakami. W pobliżu były tylko puste pola i

Str.6 kartofliska, dopiero na dalszym planie były domki i ogrody przy ulicy Powsińskiej.

Rysunek. Szkic odcinka Szosy Królewskiej: Szosa Królewska - Park Hrabiny; Mokotów; Sadyba; ulica Powsińska; Wilanów

Na przeciw Parku Hrabiny zebrało się nas 14 ludzi, reszta zginęła nam z oczu. Uzbrojenie: 1 automat sowiecki i kilka granatów. Podczołgaliśmy się pod samą szosę chcąc wykonać skok. Po lewej stronie jest mały parterowy budynek z ogródkiem - tym to ogródkiem podczołgaliśmy się do samej Szosy Królewskiej. Obstrzał mamy z pola za nami, z prawej strony szosy - od Wilanowa, od strony lewej - od Fortu Bema. Prawą stronę zagrażają nam piechurzy niemieccy idący szybkim marszem celem połączenia się z lewym skrzydłem. Lewe skrzydło jest od nas odległe o sto metrów - rozstawili na szosie dwa RKM i czekają na zamknięcie kotła. Skok trzeba wykonać natychmiast, widzimy Niemców z lewej przy RKM - są gotowi i tylko czekają na nasz ruch. BILL jako najsilniejszy zbiera od nas wszystkich granaty, jest ich aż trzy, ja o swoim granacie zapomniałem. Zamierzamy po rzuceniu granatu zrobić razem skok do Parku Hrabiny. Pierwsza „perełka” została przez BILLA rzucona w kierunku niemieckich RKM rozstawionych na szosie, wszyscy jesteśmy przygotowani do skoku. Niestety kilka sekund minęło a granat nie wybuchł - niewypał - szepnęliśmy. BILL rzucił drugi granat - też niewypał, w końcu trzeci - też niewypał. Jesteśmy w strachu, co teraz zrobić. Niemcy z prawej coraz bliżej - nie widzą nas, ci z lewej prują do nas ile sił, co robić? W tym jakaś ofiara odzywa się że ma jeszcze jedną „perełkę”. BILL wziął ją, napluł sobie w rękę i rzucił w kierunku niemieckich RKM - w tym momencie wybuch i kurz zakrył szosę - zrobiliśmy skok do Parku Hrabiny. Niemcy nie oddali strzału, dopiero po pewnej chwili z całą wściekłością zaczęli rąbać po parku. Ja w czasie przeskoku zgubiłem jeden but, poza tym nie mieliśmy strat - kocioł był zamknięty, wyszło nas tylko 14. Udaliśmy się w kierunku ulicy Powsińskiej, byliśmy słabo ostrzeliwani.

W pierwszym domku przy ulicy Powsińskiej zatrzymaliśmy się żeby odpocząć i naradzić się co zrobić z sobą, dokąd się udać. Gospodarzy poprosiliśmy o wodę, byli bardzo wystraszeni, ale dali nam bardzo chętnie. Gdy trochę odsapnęliśmy chcieliśmy się poinformować gdzie są Niemcy i czy można przejść na drugą stronę ulicy Powsińskiej. Cywile nie mogli nam nic powiedzieć, nie orientowali się w sytuacji. Powiedzieli nam natomiast, że u nich w mieszkaniu jest jakiś oficer, który odpoczywa po ucieczce. Jak się okazało był to ppor. PAWEŁ, zastępca naszego dowódcy kompanii - przywitanie było bardzo serdeczne, był to oficer ogólnie szanowany i lubiany przez nas. Miał ze sobą 1 granat trzonkowy niemiecki i jeden niemiecki zaczepny. Tak był osłabiony,

Str.7 że nie mógł unieść tych dwóch granatów i oddał je mnie i BILLOWI. Radził nam żeby z powodu bardzo groźnej sytuacji pochować się w pobliskich domach. W ten sposób rozstaliśmy się z ppor. PAWŁEM i oddaliśmy się z BILLEM i jeszcze dwoma kolegami w kierunku Fortu Bema, nie wiedząc o tym, gdyż nikt z nas nie znał Sadyby - wszyscy przecież mieszkaliśmy w Śródmieściu. Bez obstrzału podchodzimy do ul. Okrężnej i przez ogród wchodzimy do domu, prawdopodobnie nr 63. Dom ten był naprzeciw Fortu Bema, na drugim planie od pętlicy tramwajowej ulicy Powsińskiej. Przez wejście od ogrodu wchodzimy do mieszkania, jesteśmy szalenie zdenerwowani, to jest ja i BILL, dwaj inni schowali się w domku na przeciwko. Ja chodziłem w skarpetkach, bo drugi but po drodze też zgubiłem, granaty mamy gotowe do rzutu, nie wiemy czy dom jest polski.

W pokoju siedzą trzy kobiety, gdy nas zobaczyły, ucieszyły się bardzo. Na nasze zapytania gdzie są Niemcy odpowiedziały, że w Forcie Bema, to jest po drugiej stronie ulicy i że możemy zacząć atak na Niemców. Zdziwiliśmy się strasznie i wyjaśniliśmy, że jest nas tylko dwóch, nie mamy broni oprócz 3 granatów i wcale nie chcemy atakować Niemców, gdyż cały nasz rozdział został rozbity, nas gonią Niemcy i chcemy żeby te panie nas gdzieś schowały. Zasmuciły się panie bardzo, ale dały nam czyste skarpetki, po 2 kołdry i zaprowadziły nas na strych gdzie był zamaskowany schowek w którym mieliśmy spać. W schowku siedziało już dwóch żołnierzy. Wyciągnęliśmy się na podłodze zamierzając spać, lecz nasza dobra gospodyni przyniosła nam garnek zupy i chleb ze smalcem. Zjedliśmy wszystko i zasnęliśmy. Obudziliśmy się 4 sierpnia o godz. 16⁰⁰. Naszych sąsiadów nie było, po chwili panna Zosia, córka gospodyni, otworzyła drzwi schowka i powiedziała, że możemy zejść na dół, Niemcy nic nie wiedzą i rewizji żadnej nie było. Od tego czasu mieszkaliśmy na dole do 7- go sierpnia. 7- go zaraz po obiedzie nasza dobra gospodyni powiedziała nam, że nie ma zapasów żywności i żebyśmy starali przedostać się na Mokotów. Byliśmy bardzo źli na tą panią i o godz. 14⁰⁰ 7 - go wyszliśmy na ulicę Okrężną i chcemy się przedostać na Mokotów, gdzie podobno nasze oddziały bronią się jeszcze.

Dwaj koledzy, którzy razem z nami ukryli się w tym samym domu byli z Sadyby i ofiarowali się jako nasi przewodnicy. Idziemy ulicą Okrężną w kierunku Szosy Królewskiej bez żadnego planu. Dwaj nasi koledzy z przodu o 100 m, a ja z BILLEM w ich ślady. Jesteśmy od szosy 300 m. Na szosie

widzimy transport samochodów niemieckich jadących w kierunku Fortu Bema. Ogrody zasłaniające nas od strony Fortu skończyły się, przed nami pusty plac i pola. Nie zdążyliśmy się namyśleć co zrobić, gdy od strony Fortu padły strzały, od szosy - z transportu strzelali ile wlezie. Z lewej strony ulicy Okrężnej była tak zwana „żółta willa”- stamtąd też strzelali. Nasi dwaj przewodnicy wzięli nogi za pas i z powrotem ulicą Okrężną uciekali, BILL za nimi a ja rzuciłem się na ziemię i patrzyłem co się dzieje. Od strony Fortu byłem niewidoczny, z szosy przestali strzelać widząc naszą ucieczkę, mnie widziano tylko z „żółtej willi”. Strzelali do mnie jak do tarczy, nie miałem za co się schować. Przede mną było cienkie drzewko, które starałem się wykorzystać. Po pewnym czasie strzały ścięły drzewko - ścięte drzewko dawało całkiem dobrą osłonę. Starałem się to wykorzystać, podniosłem się i pobiegłem w kierunku pierwszego ogrodu na ulicy Okrężnej - cały mój bieg był pod obstrzałem. Będąc pod ogrodem uczułem uderzenie w prawe udo - jestem ranny - jednym skokiem przesadziłem ogrodzenie ogrodu i kulejąc wszedłem do budynku znajdującego się w ogrodzie.

Str.8 Zajęto się mną bardzo gorliwie, po zrobieniu opatrunku, w przebraniu kobiecym, przez ulicę Okrężną przeszedłem do tego domu, w którym się wpiery ukrywaliśmy (dlatego w przebraniu kobiecym gdyż do pojedynczych kobiet nie strzelano). Moi koledzy byli w komplecie. BILL ucieszył się że wróciłem, wszyscy słyszeli strzelaninę i byli pewni, że ja zostałem zabity. Pani (*nazwisko zamazane*) gdyż tak nazywała się (*zamazane*) była znów dla nas bardzo dobra, córka (*zamazane*) robiła stale opatrunki, słowem byłem pupilem całego domu gdzie były same kobiety, gdyż mężczyźni przyłączyli się do powstańców i jeszcze nie wrócili. W ten sposób z kolegami do 12 - go sierpnia przechowywaliśmy się u pani (*zamazane*). 12 - go sierpnia po południu Niemcy opuścili Fort Bema - Sadyba została ogłoszona jako teren czysto niemiecki, wolny od powstańców. Powoli zaczynał się ruch a około 14 - go na ulicy Powsińskiej można było kupować biały chleb, owoce i w sklepach artykuły spożywcze, które jednak bardzo prędko się wyczerpały.

13-go sierpnia będąc na przechadzce z panną (*zamazane*) poznałem przez nią ppor. LUDWIKA, który wciągnął mnie wraz z BILLEM do konspiracji, która się z powrotem zawiązywała na Sadybie. Jakie było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że komendantem Sadyby jest pan mjr JASZCZUR. Wraz z BILLEM zostałem wcielony do plutonu „Śmierci” pod dowództwem ppor. ROMANA. Zgodziliśmy się na wcielenie do tego plutonu pod warunkiem, że gdy znajdziemy swój oddział będziemy mogli się zwolnić. Przypuszczaliśmy, że ppor. PAWEŁ zebrał rozbitków z kompanii 517 i gdzieś z nimi walczy - jak się okazało - w tym czasie ppor. PAWEŁ był na Czerniakowie. W plutonie „Śmierci” spotkaliśmy MRÓWKĘ z kompanii 518, który też warunkowo przydzielony był do plutonu „Śmierci”. W plutonie nazywali nas po pewnym czasie grupą „Mrówek”. Komendant JASZCZUR na Sadybie miał zorganizowanych około 100 ludzi, broni było bardzo mało, nasz pluton „Śmierci” miał całą broń u siebie. Było to: 3 automaty niemieckie, 1 karabin dziesięcioprowadnicowy rosyjski, 4 KB niemieckie, trochę amunicji. Nocami

trzymaliśmy warty na dachach domów wypatrując alianckich samolotów i czekając na zrzuty. Pojawienie się alianckich maszyn było ostrzeliwane przez Niemców znad Wisły i Służewca. Co noc nasze patrole wychodziły w pola i w rejon Jeziorka Czerniakowskiego wypatrując zrzutów broni. Nie mieliśmy szczęścia, łapaliśmy tylko amunicje 9 mm i amunicję do niemieckich KB - nasza rosyjska dziesiątka miała tylko 70 sztuk amunicji.

Dnia 17-18-go przyszedł rozkaz od gen. Bora - Komorowskiego: od strony Sadyby zaatakować Wilanów. Do 17-go sierpnia nie zaczepialiśmy w ogóle Niemców na Sadybie na wyraźny rozkaz komendanta **JASZCZURA**. W nocy z 17-go na 18-go miało się więc rozpocząć drugi raz powstanie na Sadybie. W nocy zebraliśmy się na ulicy Powsińskiej (pierwszy dom od pętlicy tramwajowej) róg ulicy Okrężnej, po stronie Jeziorka Czerniakowskiego. Dowódcą całości był **Kapitan**, nie pamiętam pseudonimu, rozdzielono amunicję, granaty i broń - każdy miał 2 lub 3 granaty zrzutowe angielskie, ja dostałem „dziesiątkę” rosyjską i z dwoma oficerami oraz sześcioma żołnierzami mieliśmy obstawić Szosę Królewską przy willi aktora filmowego Waltera. Zadaniem naszym było starać się zatrzymać posiłki niemieckie, które w czasie walki w Wilanowie mogły od strony Mokotowa nadjechać. Dowódca całości **Kapitan** wybrał dziesięciu ludzi, uzbrojonych tylko w granaty, jako grupę dywersyjną - w grupie tej był **BILL** i **MRÓWKA**. Zadaniem tej grupy było wtargnięcie do Pałacu Wilanowskiego i zrobienie jak największego hałasu celem

Str.9 zdezorientowania Niemców - jak przypuszczaliśmy, był to najsilniejszy punkt Niemców w Wilanowie. Niestety nie mieliśmy żadnego wywiadu i nikt nie znał dobrze Wilanowa. Atak miał rozpocząć się o północy, nasz oddział wspomagany oddziałami z Baszty Mokotów od strony Sadyby, jednocześnie nasze oddziały Leśne o tej samej godzinie rozpoczynały szturm od strony Lasów Kabackich. Mieliśmy stałą łączność z oddziałami „kabackimi” utrzymywaną przez łączniczki. O oznaczonej godzinie nastąpił atak naszej grupy dywersyjnej na pałac w Wilanowie - Niestety nieudany. Nasz dowódca **Kapitan** na czele swojej dziesiątki chciał wdrzeć się przez główną bramę pałacu do środka obrzucając się granatami. Niemcy przywitani ich krzyżowym ogniem CKM - jeden tylko **Kapitan** zdołał wejść do środka lecz momentalnie został zastrzelony. Nawiązała się krótka walka, grupa dywersyjna odstąpiła od pałacu nie wiedząc co robić dalej. Po paru chwilach zastanowienia postanowili cofnąć się na Sadybę. Lecz już nadciągały oddziały Leśne wspaniale uzbrojeni, każdy - karabin lub automat niemiecki lub rosyjski, granatniki oraz działka przeciwpancerne, rusznice rosyjskie. Leśni prędko zorientowali się w sytuacji i postanowili wspólnie raz jeszcze zaatakować pałac w Wilanowie. Po stracie około 50 ludzi musieli się wycofać - atakowali przez główną bramę, gdyż nikt nie znał dokładnie rozplanowania pałacu. Jednak cel został częściowo osiągnięty, duża część oddziałów Leśnych przedarła się a taki był plan uderzenia na Wilanów. Alianci dokonywali zrzutów broni w lasach podwarszawskich i w ten sposób oddziały Leśne były uzbrojone po zęby i stale przedzierali się do Warszawy mając łączność z oddziałami warszawskimi. Z Wilanowa małymi grupami Leśni szli Szosą Królewską w kierunku Warszawy.

Na moim posterunku przy willi Waltera komendantem był ppor. ROMAN, który dostał rozkaz od mjr JASZCZURA kierować oddziały Leśne nie na Mokotów jak tego żądali Leśni a na Sadybę. Mjr JASZCZUR chciał w ten sposób zgromadzić jak najwięcej ludzi dla obrony Sadyby. Uzbierał w ten sposób około 1500 żołnierzy dobrze uzbrojonych i obsadził nimi Fort Bema od kościoła Czerniakowskiego do pętlicy tramwajowej, róg ulicy Powsińskiej i ulicy Okrężnej. Od strony Jeziorka Czerniakowskiego obsadził domki żołnierzami po pięciu lub dziesięciu w każdym. Przy kościele Czerniakowskim zbudowaliśmy barykadę z tramwaju, wozów drewnianych i ziemi. W ten sposób Sadyba była broniona ze wszystkich stron. Od Mokotowa nie potrzebowaliśmy się ubezpieczać, gdyż Mokotów był w naszych rękach. Pluton „Śmierci” miał obronę barykady przy kościele Czerniakowskim. Ja jako kulawy donosiłem amunicję z Fortu Bema do barykady przy kościele Czerniakowskim. Dnia 18 sierpnia do południa odparliśmy trzy ataki od strony Czerniakowa. O godz. 15⁰⁰ spotykam koło naszej barykady drużynę żandarmerii z Mokotowa. Wśród nich poznaję z daleka BOBRA i JURKA z kompanii 517 i dowiaduję się, że kompania 517 jest na Mokotowie. Baszta, jako żandarmeria, pod dowództwem ppor. PAWŁA, który zmienił pseudonim na SZLAK i jest zarazem komendantem Placu Baszty. Naturalnie odmeldowałem się u ppor. ROMANA i wraz z BILLEM i MRÓWKĄ dołączyliśmy do żandarmów i w nocy na przełaj przez pola, potem Królikarnię dostaliśmy się do Komendy Placu, która mieściła się róg ulicy Malczewskiego i ulicy Tynieckiej, na przeciw szpitala „Elżbietanek” i zameldowaliśmy się ppor. SZLAK.

Str.10 Rano 19 - go sierpnia ppor. SZLAK wypytywał się o nasze przygody, potem oznajmił nam, że za mnie i za BILLA były w oddziale żandarmerii 2 minuty ciszy jako za poległych. Zadaniem żandarmerii było wyszukiwanie folksdojczów i Niemców cywilnych, których następnie przekazywano do Ł i B, czyli Ład i Bezpieczeństwo. Po trzech dniach musiano mnie przenieść do szpitala „Elżbietanek” na ul. Malczewskiego gdyż moja rana w nodze od ciągłego chodzenia psuła się. W szpitalu warunki były dobre, każdy miał swoje łóżko, obiady były dobre - na kolacje i śniadania chleb z miodem i kawa. W naszej sali było nas dziesięciu żołnierzy. W innych salach żołnierze leżeli razem z rannymi cywilami. Doktorów było kilku, ale chirurgów było tylko dwóch lub trzech. 24 sierpnia zbombardowali Niemcy Komendę Placu gdzie zginęły dwa plutony żandarmerii. Nasz pluton się uratował, gdyż był tego dnia na patrolu. Nasz pluton pod dowództwem ppor. SZLAKA przeniósł się po zbombardowaniu na ulicę Krasickiego 15, zaś Komenda Placu przeniosła się w niewiadome miejsce pod dowództwem mjr SZPAKA, który też został Komendantem Placu. Ja ze szpitala zostałem wyprowadzony przez JURKA, BILLA i BOBRA - żądałem by mnie zabrali na swoją kwaterę, gdyż Niemcy zwykle ostrzeliwali Mokotów od godz. 12⁰⁰ do 14⁰⁰, zaś od dnia 24 sierpnia ostrzeliwali Mokotów od rana do wieczora. W kanonadzie najbardziej baliśmy się miotaczy min tak zwanych przez nas „krowy” lub dział kolejowych. Dnia 25 sierpnia kanonada od samego rana. O godz. 11⁰⁰ z ulicy Krasickiego 15 przenieśliśmy się do „Królikarni” - o godz. 14⁰⁰ po południu strzelanina ustała a my wróciliśmy na swoje kwatery - (ul. Krasickiego 15). Niestety nasz dom był silnie zarysowany a wewnątrz zdemolowane. Szpital „Elżbietanek” był

bardzo zniszczony a domki na ulicy Krasickiego były prawie wszystkie zniszczone. O godz. 17⁰⁰ przenieśliśmy się na ulicę Lenartowicza do willi Jadwigi Smosarskiej.

Nasz pluton w którym dowódcą był ppor. SZLAK, szefem st. sierż. MARIAN, gospodarczym sierż. BAGNET, kilku podchorążych których pseudonimów nie pamiętam oraz ja, JUREK, BOBER, BILL i jeszcze kilku chłopców - razem około 25 ludzi. Byliśmy tak zwanym plutonem od zrzutów, chociaż ani jednego zrzutu nie schwyciliśmy. Mieliśmy tylko 2 KB, 1 PM oraz 2 pistolety. W ten sposób chodząc na patrole zrzutowe i od czasu do czasu na wartę na ulicę Puławską nr około 120-ty dla ochrony pewnego Pułkownika, którego pseudonimu nie pamiętam.

Przyszedł poniedziałek dnia 25 września. Normalnie wieczorami wychodziliśmy sobie do kolegów z innych oddziałów lub znajomych. Tego dnia wybieraliśmy się do znajomych na małą zabawę - było to dopuszczalne na Mokotowie, ponieważ Niemcy od 10 - go września oprócz małych i słabych ataków nie zakłócili nam specjalnie spokoju.

A więc dnia 25 - go od wczesnego rana Niemcy zrobili ostateczny atak na Mokotów. O godz. 8⁰⁰ rano czołgi niemieckie dochodziły do szkoły „Woronicza”. Ponieważ nasza kwatera była w bliskim sąsiedztwie szkoły „Woronicza” ppor. SZLAK wysłał mnie, ponieważ byłem ciągle jeszcze kulawy wraz z lekko rannym sierż. BAGNETEM oraz z kolegą, który tego dnia stojąc na posterunku wartowniczym dostał odłamkiem w plecy, w kierunku Parku Dreszera w pobliżu kwatery Ł i B (Ład i Bezpieczeństwo), która mieściła się na ulicy Tynieckiej przy Parku Dreszera. Ppor. SZLAK wraz ze swoimi pozostałymi ludźmi postanowił pozostać w willi Jadwigi Smosarskiej do chwili upadku szkoły „Woronicza”- nastąpiło to wieczorem dnia 25-go września. Przy Parku Dreszera spotkaliśmy pluton ppor. SZLAKA, do którego dołączyliśmy, i pod nieustającym ogniem niemieckim przedostajemy się na ulicę Raclawicką nr 3, a następnie przyłączamy się do oddziału PAL pod dowództwem porucznika LUDWIKA. Dostaliśmy od „palowców” trochę broni i amunicji wraz z pięcioma ludźmi, i mamy obsadzić dom narożny - przy ulicy Puławskiej i ulicy Malczewskiego. Niemieckie czołgi widać od ulicy Krasickiego. Ja jestem na strychu naszego domu i obserwuję ruch nieprzyjaciela. Na parterze jest ppor. SZLAK, który czeka na moje meldunki - ja meldując zbiegam ze strychu na dół,

Str.11 mówię co widziałem i z powrotem wbiegam na strych. Do obserwacji miałem lornetkę i to teatralną, tak że wolałem obserwować gołym okiem.

Rysunek. Szkic naszego posterunku: szkoła „Woronicza”; ulica Lenartowicza; ulica Tyniecka; ulica Puławska; posterunek.

Niemieckie czołgi bardzo wolno posuwały się na linii ulicy Puławskiej, ulicy Lenartowicza i Okęciem wypierając nasze siły w kierunku Parku Dreszera. Nasze najsilniejsze punkty oporu to „Królikarnia” i szkoła „Woronicza” gdzie walczyła K-2. Około godz. 17⁰⁰ niemieckie czołgi od Okęcia były już przy Parku Dreszera, „Królikarnia” zajęta - tak że niemieckie czołgi po ulicy Puławskiej posuwały się swobodnie lecz tchórzliwie. Byliśmy wzięci w dwa kliny. Plac pomiędzy Puławską a Tyniecką widoczny z naszego posterunku był pod

ciągłym ostrzałem broni maszynowej niemieckiej i czołgów. Samolotów niemieckich nie było ponieważ rosyjska artyleria skutecznie je ostrzeliwała a myśliwce rosyjskie również często nas wspomagały. Z rozkazu naszego dowódcy ppor. SZLAKA musieliśmy się wycofać na drugą stronę ulicy Malczewskiego, idąc w kierunku Parku Dreszera. Przeskok przez ulicę Malczewskiego był chroniony barykadą wysokości 120 cm od strony ulicy Tynieckiej. Pierwsi mieli wykonać skok przydzieleni z PAL - pięciu ludzi. Bali się bardzo gdyż cały odcinek ulicy Malczewskiego i ulicy Puławskiej był pod silnym ostrzałem broni maszynowej i działek czołgowych - dopiero pod groźbą pistoletu zrobili skok i schronili się w pierwszej narożnej willi. Skok wykonywali biegnąc wzdłuż barykady ul. Malczewskiego i dostali ostrzał z czołgu „pantera”, który stał oddalony od barykady o 150 m. Ponieważ teraz my musieliśmy się przedostać na drugą stronę ulicy Malczewskiego poradziłem ppor. SZLAK żeby skok nie wykonywać biegiem, tylko na czworakach pod osłoną barykady wolno przejść na drugą stronę. Pierwszy szedł ZIEMOWIT,

potem TOLEK - syn naszego wachmistrza i szefa MARIANA, potem ja ARIEL, następnie st.

sierz. MARIAN i jeszcze kilku, ostatni szedł ppor. SZLAK. Połowę barykady przeszliśmy tak jak planowałem, lecz TOLEK nerwowo nie wytrzymał i na ostatnich metrach poderwał się na całą wysokość i biegiem chciał przebiec ostatnie metry. W tym momencie „pantera” dała ognia i pocisk tak blisko przeleciał koło TOLKA, że ciało jego zostało spalone na węgiel. My naturalnie w momencie strzału biegiem przedostaliśmy się na drugą stronę ulicy Malczewskiego. St. sierż. MARIAN nie wiedział, że syn jego padł, dopiero po paru chwilach okazało się że tym zabitym był TOLEK. St. sierż. MARIAN chciał wrócić po ciało syna lecz my zatrzymaliśmy go siłą. Ppor. SZLAK dał mnie i ZIEMOWITOWI 2 bomby z plastyku owinięte w papier zakończone lontem i mieliśmy wejść na ostatnie piętro willi i stamtąd rzucić te bomby na czołg, który powinien być podług naszych obliczeń pod samą willą. Niestety czołg oddalił się przeczuwając nasz zamiar. W owej willi siedzieliśmy do godz. 18⁰⁰. Od strony ulicy Krasickiego wzdłuż ulicy Malczewskiego w kierunku na ulicę Puławską Niemcy wypuścili „goliata” który ma w sobie 500 kg plastyku. „Goliat” wybuchł w pobliżu naszej willi. Ja i ZIEMOWIT obserwowaliśmy odcinek ze strychu i meldowaliśmy zbliżanie się „goliata”.

Str.12 Dostaliśmy rozkaz odcięcia „goliata” (gdyż „goliat” na dwóch kablach jest złączony z czołgiem, który go wypuszcza) za pomocą plastyku. Do pomocy wbiegło na górę jeszcze trzech kolegów. W chwili wybuchu „goliat” był odległy o 200 - 300 m; stał róg ulicy Tynieckiej a my nieostrożnie wyglądaliśmy przez okno, gdyż nikt jeszcze nie widział „goliata”. Gdy nastąpił wybuch jego siła wyrzuciła nas na środek pokoju - czapki lub berety pospadały nam z głów. Ja myślałem że jestem ranny, pomacałem się wszędzie, okazało się że jestem cały, to samo zrobił każdy mój kolega, następnie zbiegliśmy na dół. Cały parter siłą wybuchu był zdemolowany, wszystkie drzwi wyrwane. Ppor. SZLAK odłamkami cegły dostał w prawą nogę. St. sierż. MARIAN z kolegami znieśli go do piwnicy gdzie cywile zrobili opatrunek. Do września cywile byli bardzo przychylnie usposobieni do nas, powstańców, ale już we wrześniu uważali nas prawie za wrogów. Po wybuchu dołączył do nas plut.

pchor. (pseudonimu nie pamiętam) z 25 ludźmi, każdy z bronią - meldowali, że szkoła „Woronicza” padła i musimy się wycofać za Park Dreszera. Przyłączyliśmy się do niego i opuściliśmy willę chcąc przejść na ulicę Raławicką.

Przy schronach na ulicy Puławskiej spostrzegliśmy, że nie ma z nami ppor. SZLAKA. Postanowiliśmy wrócić i szukać go lecz ów plut. pchor. odradzał nam mówiąc, że w tej willi są już Niemcy. Ja wraz z ZIEMOWITEM prosiliśmy go, żeby zrobić uderzenie jeżeli są tam Niemcy i zabrać ppor. SZLAKA. Plut. pchor. tłumaczył się że to nie ma celu, i że PM zaciął się jemu. Ja wysłałem ZIEMOWITĘ żeby z innej placówki przyprowadził ludzi i sami zrobimy uderzenie. Plut. pchor. ze swoimi ludźmi poszli dalej w kierunku ulicy Raławickiej a ja i kilku kolegów zostaliśmy w schronach czekając na ZIEMOWITĘ przedtem zabierając trzy KB od plut. chorążego. Jest już szarówka i zwątpiliśmy, że ZIEMOWIT wróci. Sami nawiązaliśmy ogień z naszą placówką, odpowiadały nam pojedyncze strzały. ZIEMOWIT powrócił z 12 ludźmi, wszyscy mieli PM (steny) - radość nasza z powodu jego powrotu była bardzo duża. Natychmiast zrobiliśmy uderzenie i bez obstrzału wdarliśmy się z powrotem do naszej byłej placówki. Wszyscy rozbiegli się szukać ppor. SZLAKA - ja z kolegą z sieni ubezpieczaliśmy wyjście na ulicę Malczewskiego i ulicę Puławską. Gdy z piwnicy wyciągnęli rannego ppor. SZLAKA i wynieśli na zewnątrz, przez bramę, z ulicy Malczewskiego został rzucony granat. Ja nie wiedziałem co to może być, kulało się po ziemi jak piłka lub kamień - zauważyłem iskierkę, krzyknąłem - granat, i schowałem się za wystający mur dając jednocześnie strzał w kierunku skąd wpadł granat. Po chwili wpadł drugi granat, ja nie czekając na wybuch wybiegłem wyjściem na ulicę Puławską i dołączyłem do ZIEMOWITĘ i st. sierż. MARIANA, którzy nieśli ppor. SZLAKA. Reszta z powodu ciemności pogubiła się i dopiero po odniesieniu ppor. SZLAKA do szpitala przy ul. Raławickiej niedaleko fabryki „Bosch” spotkaliśmy się na ulicy Raławickiej 3 gdzie był nasz punkt zboru.

Z kompanii 517 i 518 było nas wszystkich 23 ludzi, komendantem został plut. pchor. DYDEK, zastępcą pchor. ORZEŁ i dołączyliśmy do oddziału por. GUSTAWA na ulicę Dolną. Miał on oddział około 300 ludzi dobrze uzbrojonych. Nasz oddział podzielili na dwie połowy - pierwsza grupa 10 ludzi pod dowództwem plut. pchor. DYDKA, druga grupa pod dowództwem st. sierż. MARIANA, w której byłem ja - mieliśmy dojechać i dołączyć do załogi domu przy ul. Dolnej 22. Komendantem załogi został wachmistrz MARIAN. Ludzi było 30 - tu, połowa PM, reszta KB i jeden RKM niemiecki (*nie potrafię odczytać*).

Str.13 Placówkę objęliśmy dnia 26 września. Od strony Czerniakowa w ciągu dnia Niemcy atakowali trzy razy piechotą wspieraną czołgami - wszystkie ataki odpieraliśmy - szczęśliwie strat nie było żadnych. Niemcy zajęli sąsiadujące budynki i czekali nocy. O godz. 20⁰⁰ przyszedł rozkaz wycofania się do kanałów celem przedostania się do Śródmieścia. St. sierż. MARIAN wyznaczył mnie na komendanta placówki, pozostawił 5 ludzi, dostaliśmy wszyscy PM i do 27 września, do godz. 5⁰⁰ rano, mieliśmy wszelkimi siłami

utrzymać placówkę, każdy ruch nieprzyjacielski ostrzelać z całej broni i w ten sposób mylić nieprzyjaciela co do liczebności placówki. W nocy rozstawiłem dwa posterunki ruchome na około domu, zmiana co godzinę. Noc minęła spokojnie. O godz. 5⁰⁰ rano 27 września przychodzi goniec i mamy się wycofać na ulicę Puławską do kanałów. Bez obstrzału dostajemy się na ulicę Puławską przez „Higienę” i dołączamy do por. GUSTAWA, który ze swoimi ludźmi czekał całą noc na wejście do kanałów. O godz. 7⁰⁰ rano okazało się że kanały są zniszczone, wracamy z powrotem na swoje placówki. St. sierż. MARIAN zabiera swoich ludzi i wracamy tą samą drogą na ulicę Dolną 22 - udało się bez obstrzału. Z naszego domu widać na wale ulicy Puławskiej piechotę niemiecką posuwającą się w kierunku „Higieny”. Za 1 godzinę będziemy mieli zamknięte dojście do ulicy Puławskiej, amunicji mamy zaledwie po parę sztuk na jednego. St. sierż. MARIAN uważa, że nie wyjdziemy z tego interesu.

Godz. 9⁰⁰ - na Mokotowie widać białe flagi, przychodzi goniec z rozkazem - natychmiast wycofać się na ulicę Puławską do kanałów. Pod silnym ogniem granatników i broni maszynowej przedostajemy się na ulicę Puławską, i podwórkami dochodzimy do wjazdu na ulicy Puławskiej, niedaleko ulicy Szustra, wchodzimy do kanałów. Teraz broni aż za dużo - każdy ma KB nawet po dwie sztuki, ja mam dwa PM. Idziemy bez przewodnika, staramy się iść w kierunku na Plac Unii Lubelskiej. Idziemy rzędem, około 1000 ludzi, również cywile dołączali do nas. Po jakimś czasie dochodzimy do Placu Unii Lubelskiej - kanał jest zasypany przez bomby, trzeba wracać, nie ma powietrza. Wracamy, po drodze mijają nas inne grupy również starające się dostać do Śródmieścia - woda niska, po kolana, stały brak powietrza. Kłótnie z innymi, którzy nie wierzą nam, że kanały są zniszczone. W ciemnościach mijamy się z tymi, którzy chcą iść w przeciwnym kierunku. Tłok straszny, coraz mniej powietrza.

Z przodu naszego oddziału rozkaz z ust do ust - zrobić odstępy co 10 m, bo się podusimy. Oddychamy ustami otwartymi na całą szerokość. Gdzieś z tyłu huk granatów, to Niemcy usłyszeli szum w kanałach i przez włazy rzucają granaty. Prędkim marszem idziemy z powrotem w kierunku Mokotowa. Coraz częściej spotykamy się z trupami pod nogami, wybuchy granatów coraz częstsze, ludzie domagają się wyjścia przez pierwszy wjazd napotkany po drodze, znów brak powietrza. W końcu jest wjazd, wszyscy są wyczerpani do ostatnich granic. Otwieramy wjazd, wpada świeże powietrze - odżyliśmy. Pewna część wychodzi na wierzch - niestety, była to ul. Dworkowa, którą mieli Niemcy i ukraińscy żandarmi. Reszta oddziału po zaczerpnięciu powietrza postanowiła iść dalej, a może uda się dostać do Wisły a potem na drugą stronę. Niestety, po krótkim marszu znów wyczerpani i głód dawał się we znaki.

Str.14 Od 25-go września nie jedliśmy nic ciepłego. Na placu przy ulicy Puławskiej, ulicy Szustra i ulicy Bałuckiego wyszliśmy z kanałów i przez niemiecką piechotę dywizji Hermanna Georga wzięci do niewoli: „BASZTA” Mokotów złożyła broń. Dokończenie.

Od dnia 20 sierpnia w kompanii 517 mieliśmy dwie łączniczki - Grażyna i Niusia, nie piszę o nich ponieważ nie odegrały poważniejszej roli, pomimo że były bardzo odważne.

Najbardziej zasługuje na uwagę ppor. SZLAK, przedtem PAWEŁ, następnie ZIEMOWIT i BILL oraz JUREK, który został mianowany podporucznikiem. W chwili poddania się z kompanii 517 i 518 pozostało wraz z rannymi przy życiu ok. 30 ludzi. Po złożeniu broni, po godzinie ustawiono nas trójkami i pomaszzerowaliśmy na Fort Okęcia. Tam dostaliśmy pierwszy posiłek od dwóch dni i po sześciogodzinnym marszu w kanałach. Następnie niemiecki generał van Bach zapewnił nas w przemówieniu, że będziemy traktowani jak jeńcy wojenni (a nie jak początkowo, jako bandyci) i odtransportowani do obozów jenieckich do pracy. O godz. 15⁰⁰ pieszo z Okęcia do Pruszkowa. Moja noga stale się nie goiła i kulejąc musiałem również pieszo iść - tylko ciężko ranni jechali na wozach. W Pruszkowie siedzieliśmy 3 dni, jedzenie możliwe i za własne fundusze można było kupować produkty spożywcze przez siostry z Czerwonego Krzyża. Po trzech dniach zostaliśmy przetransportowani pociągami do Skierniewic, gdzie pierwszy raz zetknąłem się z żołnierzami Armii Berlinga. Po tygodniu, jako ranny, pociągiem przez Berlin, do obozu jenieckiego Altengrabow Stalag XI A. Jechaliśmy w dobrych warunkach, w jednym wagonie 10 łóżek, dwa koce na jednego. Zdrowi jechali w wagonach po 60 - 70 ludzi.

Piszę tylko z pamięci,
notatek żadnych nie robiłem.

Kpr. Zbigniew Grandowicz

2 B. Komandosów (zmot.)

2 W. D. Panc. C.M. F 419

W suplemencie WIEPW znajduje się zapis: ARIEL NN, strzelec.

Mokotów, 1 dak im. Bema; Śródmieście, bat. Ruczaj, komp. „Tadeusz”
Nazwiska nie wszystkich Powstańców, które ustaliłam - z pewną dozą niepewności

1. PAWEŁ, SZLAK - Paweł Szlachetko
2. BILL - Zdzisław Tałaj
3. BOBER / BÓBR - Tadeusz Pośpiech
4. JASZCZUR - Czesław Melchior Szczubetek;
5. BAGNET - Stanisław Ryński
6. SMOK - Karol Rybicki
7. DYDEK - Stefan Bargielewicz
8. MRÓWKA - Jan Makowski
9. JUREK - Władysław Wiącek
10. ZIEMOWIT - Ryszard Świerszcz
11. GUSTAW - Konrad Górnisiewicz
12. SZPAK - Brunon Rolke
13. JAN - Tadeusz Kruszecki
14. ARIEL - Zbigniew Grandowicz

Brakuje:

TOLEK

MARIAN

ORZEŁ

LUDWIK

ROMAN

Oficer str. 4

Kapitan str. 8

Plut. pchor. str. 12

Opracowanie: Regina Grandowicz